

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 4



Prawna obrona polskiej pamięci historycznej

- Jakie narzędzia umożliwiają Polakom dbanie o dobre imię naszego narodu?
- Sądowe batalie o prawdę na temat cierpienia Polaków w czasie drugiej wojny światowej
 - W jaki sposób inne państwa bronią swojej pamięci historycznej?
- Anatomia medialnego ataku na Polskę po nowelizacji ustawy o IPN w 2018 roku



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI





FOT. XXXXXXXXXXXXXXX

SPIS TREŚCI

3 ROZMOWA Z LECHEM OBARĄ BAT NA KŁAMCÓW

– Prawo cywilne daje Polakom większe możliwości obrony naszej pamięci historycznej niż prawo karne – mówi mec. Lech Obara ze stowarzyszenia Patria Nostra w rozmowie z Piotrem Włoczykiem.

7 WOJCIECH SIMON WOJNA NA PARAGRAFY

Na świadome fałszowanie historii niewiele pomogą sprostowania czy akcje edukacyjne. Z propagandzistami celowo siejącymi kłamstwa szkalujące dobre imię polskiego narodu o prawdę i godność trzeba walczyć, wykorzystując też prawo cywilne.

11 JAKUB OSTROMĘCKI HISTORIA ZA KRATKAMI

Nie brakuje państw, które w sprawach

dotyczących polityki historycznej sięgają po przepisy karne.

15 ZUZANNA DĄBROWSKA JAK WYGRAĆ WOJNĘ O HISTORIĘ

Nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r. unaoczniała skalę niechęci zagranicznych mediów wobec polskiej pamięci historycznej. Przy okazji jasne się stało, że polska machina narracyjna to wciąż niezrealizowany projekt.

– Prawo cywilne daje Polakom większe możliwości obrony naszej pamięci historycznej niż prawo karne – mówi mec. Lech Obara ze Stowarzyszenia Patria Nostra
rozmawia Piotr Włoczyk



Bat na kłamców



Mecenas. Lech Obara wraz z Karolem Tenderą na sali rozpraw

FOT. PAP

PIOTR WŁOCZYK: Czy polskie prawo wystarczająco chroni polską pamięć historyczną?

MEC. LECH OBARA: Spośród narzędzi, których można używać do obrony prawdy historycznej, zdecydowanie najlepszym jest prawo cywilne. W ciągu ostatnich lat pojawiły się mechanizmy, które pozwalają skutecznie reagować na próby fałszowania naszych dziejów. Zdaję sobie przy tym sprawę, że sięganie po środki cywilne jest często sprzeczne z wolą wielu Polaków, którzy chcieliby ostrzejszej reakcji na najbardziej podłe kłamstwa historyczne, w rodzaju twierdzeń o „polskich obozach zagłady” czy przypisywania nam współudziału w innych niemieckich zbrodniach. Niektórzy bowiem chcieliby takich kłamców przede wszystkim ścigać na podstawie kodeksu karnego.

Czy to oznacza, że w ogóle nie jest pan zwolennikiem używania narzędzi karnych w takich sytuacjach?

W przypadku ludzi, którzy kłamią na temat naszej historii w sposób perfidny, szczególnie w kontekście drugiej wojny światowej, próbując przypisać Polakom zbrodnie popełnione przez innych, jestem w stanie wyobrazić sobie karanie takich czynów nawet więzieniem. Musimy jednak zdawać sobie sprawę z tego, jak wygląda praktyka w takich przypadkach. Najczęściej kłamstwa godzące w polską pamięć historyczną formułowane są poza granicami naszego kraju. Oznacza to, że musielibyśmy postawić przed polskim sądem obywatela innego państwa, który najpewniej nie będzie miał ochoty pojawić się w tym celu w Polsce. Tymczasem prawo, aby było szanowane, musi być skuteczne. Dlatego uważam, że prawo cywilne daje Polakom większe możliwości obrony naszej pamięci historycznej niż prawo karne. Głośne przeprosiny lub zasadzenie wysokiego zadośćuczynienia może

równie dobrze odstraszać w przyszłości potencjalnych kłamców jak groźba więzienia.

Jak źle jest dziś w tej kwestii?

Sytuacja jest trudna nie tylko w Niemczech, o których jest najgłośniejsz z uwagi na prowadzone przez nas interwencje. Szkalujące Polskę wyrażenia często padają też m.in. w mediach francuskich i brytyjskich. W 2014 r. nasze polskie placówki dyplomatyczne przeprowadziły w tej sprawie 151 interwencji, a w 2017 r. już 258. Ewidentnie same interwencje dyplomatyczne to za mało. Przeważnie dowiadujemy się o użyciu frazy „polskie obozy” przez internetowe wydania największych zachodnich mediów. Sprostowania, których domagają się polscy ambasadorowie, jeżeli w ogóle się pojawiają w tych mediach, to kilka miesięcy po fakcie. Zazwyczaj, z oczywistych względów, nie są eksponowane

■ i efekt jest taki, że wielokrotnie więcej osób przeczyta o „polskich obozach”, niż dowie się o treści sprostowania.

Obserwując to wszystko z rosnącym niepokojem, my, polscy prawnicy chcący chronić wizerunek naszego narodu, postanowiliśmy działać. Skoro bowiem funkcjonujemy w jednym europejskim systemie prawnym, gdzie wyroki sądu wydane w jednym państwie powinny być automatycznie wykonywane w innym państwie unijnym, to uznaliśmy, że należy skorzystać z polskich przepisów, by ścigać kłamstwa z zagranicy.

Jakie narzędzia daje polskie prawo ludziom chcącym walczyć z fałszowaniem polskiej historii?

Z jednej strony mamy narzędzia chroniące dobra osobiste, które ujęte są w Kodeksie cywilnym. W Kodeksie karnym mamy natomiast obronę przed znieważeniem (art. 133 kk), zwalczanie propagowania faszyzmu i komunizmu (art. 256 kk) oraz przeciwdziałanie kłamstwom na temat zbrodni niemieckich oraz zbrodni komunistycznych (art. 55 ustawy o IPN).

Właśnie w oparciu o polskie prawo cywilne pozywaliśmy najpotężniejszych zagranicznych wydawców, reprezentujących różne kanały medialne: telewizję ZDF, gazetę „Die Welt”, radio Bayerischer Rundfunk, regionalne czasopismo „Mittelbayerische”. Także wielki portal internetowy Focus Online, gdzie powodem była wiceprzewodnicząca stowarzyszenia Patria Nostra dr Janina Luberda-Zapaśnik, była więźniarka obozu Lebrechtsdorf.

Zaczelśmy od pozwania koncernu Axel Springer, wydawcy dziennika „Die Welt”. Poprosił nas o pomoc Zbigniew Osewski, potomek więźniów obozów koncentracyjnych, który poczuł się dotknięty użyciem przez „Die Welt” sformułowania „polski obóz” w stosunku do niemieckiego obozu zagłady na Majdanku. Ta sprawa stała się kamieniem milowym w polskim orzecznictwie.

Dlaczego?

Zanim doszło do procesu z powodztwa pana Osewskiego, nie mieliśmy dobrego „punktu zaczepienia”. Jak bowiem nazwać to, co u potomka ofiar niemieckich zbrodni w obozach koncentracyjnych wywołuje przeczytanie w niemieckiej prasie określenia „polski obóz”? Artykuł 23 i art. 24 Kodeksu cywilnego mówią o dobrach osobistych będących



Ofiary niemieckich zbrodni w obozie na Majdanku, lipiec 1944 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

pod ochroną polskiego prawa, m.in. o zdrowiu, wolności oraz czci. Początkowo inni eksperci odradzali nam angażowanie się w tę sprawę, twierdząc, że polskie prawo nie wymienia dobra, które zostało naruszone w przypadku pana Osewskiego. Stwierdziliśmy jednak, że będziemy argumentowali przed polskim sądem, iż chodziło tu o godność narodową i tożsamość narodową. I ostatecznie ta argumentacja została przyjęta przez sąd. Obecnie te dobra są w polskim porządku prawnym chronione i godność narodowa oraz tożsamość narodowa są wymieniane w komentarzach do Kodeksu cywilnego jako przykłady dóbr osobistych oraz uznawane w kolejnych orzeczeniach sądów powszechnych. To było absolutnie kluczowe. Drugim stojącym przed nami wyzwaniem była tzw. indywidualizacja.

Czyli dlaczego właściwie ktoś ma się czuć urażony, jeżeli w kontekście „polskich obozów” nie został wymieniony z imienia i nazwiska?

Dokładnie. Chodziło o pokazanie, że coś, co dotyczy grupy, może dotyczyć

też konkretnego członka tej grupy. Powołaliśmy się tu na orzeczenie Sądu Najwyższego w bulwersującej sprawie obrażenia Jana Pawła II przez Jerzego Urbana. Z pozwem wystąpił nieżyjący już ks. Zdzisław Peszkowski, kapelan Jana Pawła II, a także kapelan Rodzin Katyńskich. Sąd uznał wtedy, że jeżeli dany człowiek jest bardzo emocjonalnie związany z obrażoną osobą, to może dochodzić przed sądem swoich roszczeń. To było nowatorskie podejście, które okazało się bardzo pomocne dla ludzi walczących przed sądami z kłamstwami historycznymi.

Kolejnym problemem była kwestia właściwości polskiego sądu i polskiego prawa. Skrótowo rzecz ujmując: Dlaczego sprawa ma się toczyć w Polsce, a nie w Niemczech? Przyjmuje się bowiem, że pozywa się w sądzie pozwanego. Początkowo sąd okręgowy w Polsce stwierdził, że nie jest władny, by zajmować się sprawą niemieckiej gazety, ale już sąd apelacyjny przedstawił inne zdanie.

Przepisy unijne przewidują bowiem, że w sytuacji deliktu, o którym tu mówię



w którym Polacy byli przedstawieni jako antysemita. Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej włączył się w ten proces. W pierwszej instancji udało się wygrać, ale teraz toczy się apelacja. Wkład swój mają również niemieccy adwokaci, w tym mec. Piotr Duber i mec. Rajmund Niwiński.

Najśłynniejszą sprawą był pozew Karola Tendery, więźnia Auschwitz. Pan Tendera poczuł się urażony tekstem, który ukazał się w 2013 r. na stronie internetowej ZDF. Tekst omawiał film dokumentalny o niemieckich obozach zagłady. Znalazło się w nim zdanie: „Odkrycie polskich obozów zagłady na Majdanku i w Oświęcimiu w lipcu 1944 r. i styczniu 1945 r.”

Dzięki przedstawionej wyżej ścieżce, którą udało nam się przetrzeć, pozwem pana Tendery zajęły się polskie sądy. ZDF przeprosiła wprawdzie pana Tenderę, ale zostało to zrobione prywatnie. Pan Tendera uznał, że skoro kłamstwo padło publicznie, to przeprosiny również powinny być publiczne, by jak najwięcej Niemców dowiedziało się prawdy na temat funkcjonowania niemieckiej maszyny zagłady. Polskie sądy uznały, że roszczenie byłego więźnia jest zasadne, i zdecydowały, że ZDF musi zamieścić przeprosiny na swojej stronie internetowej na okres 30 dni.

Niestety niemiecka stacja nie chciała wykonać wyroku. Zwróciliśmy się więc do sądów niemieckich. Reprezentował nas przed nimi świetny adwokat pracujący w Berlinie, mec. Piotr Duber, który robił to pro publico bono. Wysłaliśmy do niemieckich sędziów list od pana Tendery, posłaliśmy im także jego książkę ze wspomnieniami. ZDF miała po swojej stronie najlepszą kancelarię w Niemczech. Próbowano z nas zrobić awanturników, twierdząc, że realizujemy politykę historyczną PiS, która ma rzekomo skłócać Polaków z Niemcami. Przedstawiciele ZDF twierdzili też, że wyrok jest niesprawiedliwy, ponieważ sędziowie w Polsce nie są niezależni... Niemieccy sędziowie w pięknych słowach stwierdzili jednak, że wolność słowa musi zejść na drugi plan wobec cierpień pana Tendery. Niemieccy sędziowie przyznali też, że fraza „polskie obozy” nie może być uznawana za określenie geograficzne, ponieważ niewyrobyiony czytelnik uzna, iż jest to określenie narodowości sprawców zbrodni. Potwierdzili tym samym zasadność wyroku polskiego sądu i nakazali przeproszenie

pana Tendery. Jednak adwokaci ZDF odwołali się do Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe.

I wówczas okazało się, że od zasady automatycznego wykonywania wyroków wydanych w innych państwach unijnych są jednak pewne wyjątki...

Niestety, automatyzm nie zadziałał. Najważniejsi sędziowie w Niemczech niejako raz jeszcze otworzyli sprawę i zaczęli badać ją merytorycznie! Zachowali się jak kolejna instancja nad polskimi sądami. Na koniec stwierdzili, że nawet jeśli dziennikarze nie mieli prawa napisać o „polskich obozach zagłady”, to nie można im narzucić sądownie obowiązku zaprzeczenia tej tezie. Według trybunału w Karlsruhe nie można zmusić mediów do publikowania opinii innych osób, w tym opinii określonych w wyroku sądowym. Uznał po prostu, że oświadczenie nakazane w orzeczeniu sądowym, iż nie było polskich obozów śmierci, jest opinią.

To bardzo ciekawe podejście, bo Niemcy starają się przecież pokazywać jako naród, który otwarcie mówi o swoich zbrodniach. Trudno byłoby wyobrazić sobie podobny wyrok w stosunku do choćby żydowskich ofiar III Rzeszy.

Oczywiście. Jeżeli chodzi o Żydów i Holokaust, to coś takiego byłoby nie do pomyślenia, ponieważ Niemcy mają swoje przepisy karne wymierzone w ludzi mówiących nieprawdę na temat cierpień Żydów. Niemieccy dziennikarze zdają sobie z tego sprawę i są na tym tle bardzo wyczuleni. Polacy niestety nie są objęci taką ochroną...

W całej tej sprawie bardzo przykre jest to, że owo skandaliczne orzeczenie zbiegło się w czasie z wizytą w trybunale w Karlsruhe prof. Małgorzaty Gersdorf. Ówczesna prezes Sądu Najwyższego była fetowana przez niemieckich sędziów, którzy ubolewali nad rzekomym upadkiem praworządności w Polsce... Niemieckie sądy dostały wskazówkę na przyszłość, co robić, jeżeli Polacy domagaliby się od niemieckich mediów przeprosin za kłamstwa historyczne. Pan Tendera zmarł w zeszłym roku, teraz została nam tylko apelacja do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu.

Obecnie stowarzyszenie Patria Nostra zajmuje się sprawą, której finał może mieć bardzo duże konsekwencje dla przyszłych pozwów w obronie

my, można pozwać tam, gdzie nastąpiła szkoda. Tymczasem pan Osewski został krzywdy, czytając o „polskich obozach”, gdy był u siebie, w Świnoujściu. I właśnie taką argumentację uznał sąd apelacyjny.

Czyli można powiedzieć, że polscy adwokaci sami wykuli narzędzia, których dziś można używać, by bronić polskiej pamięci historycznej?

Tak. Jeszcze 10 lat temu było to niemożliwe, ponieważ mówiono, że nie sposób wskazać konkretne dobro osobiste, które fraza „polskie obozy” mogłaby naruszać. W kontekście pozwów muszę tu wymienić prof. Aurelię Nowicką, znawczynię prawa europejskiego, która bardzo nam pomogła je sformułować. Ich współautorem jest zaś również mec. którym Szymon Topa.

Bardzo aktywni są tu również dr Monika Brzozowska i mec. Jerzy Pasieka z Reduty Dobrego Imienia. Wystąpili oni z pozwem o naruszenie dóbr osobistych żołnierza AK kpt. Zbigniewa Radłowskiego przeciwko producentowi serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”,

■ polskiej pamięci historycznej. Jak wygląda to zagrożenie?

W styczniu 2018 r. złożyliśmy w warszawskim sądzie okręgowym pozwy przeciwko stacji radiowej i gazecie z Bawarii. Na swoich stronach internetowych media te nazwały niemieckie obozy zagłady w Sobiborze, Treblince i Bełżcu „polskimi obozami”. Stroną pozywającą jest Stanisław Zalewski, prezes Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Były więzień obozu zagłady domaga się przeprosin oraz wpłacenia 50 tys. zł na rzecz stowarzyszenia.

Polski sąd nieoczekiwanie w jednej z tych spraw zadał pytanie prejudycjalne do TSUE: Czy miejsce zamieszkania pozywanego na pewno powinno przesądzać w takich sprawach o właściwości polskiego sądu? Zobaczmy, co odpowie TSUE. Mało tego, że istnieje zagrożenie, iż wyroki polskich sądów nie będą wykonywane w innych krajach UE, teraz dodatkowo grozi nam, że w sprawach, w których do tej pory prawo unijne mówiło o właściwości determinowanej miejscem wyrządzenia szkody, dojdzie do reinterpretacji tej zasady. Możliwe więc, że będziemy musieli od razu pozywać niemieckie media przed tamtejszymi sądami. To oczywiście bardzo utrudniłoby naszą pracę i radykalnie

zmniejszyłoby szanse na uzyskanie korzystnego wyroku, zwłaszcza po wyroku niemieckiego trybunału w Karlsruhe.

Jak pan ocenia w tym kontekście starania Věry Jourovej?

Wiceszefowa Komisji Europejskiej, widząc, że sąd niemiecki nie wykonuje wyroku, jako strażniczka traktatów powinna „z automatu” interweniować. Powinna wystąpić w obronie prawa europejskiego do TSUE w trybie art. 258 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, ale nie uczyniła tego, mówiąc, że to nie jest jej rola. Pisaliśmy do niej petycję i wciąż walczymy, by zajęła się tematem. Mało tego, KE wyraziła stanowisko w sprawie pytania prejudycjalnego w sprawie pana Zalewskiego. Zdaniem KE to sądy niemieckie powinny się zajmować takimi procesami. Czekamy teraz na orzeczenie TSUE, które przesądzi, czy wciąż będziemy mogli korzystać z „polskiej ścieżki” w takich sprawach.

Czyli skuteczność polskiego prawa w kontekście walki z kłamstwami na temat naszej historii zależy od tego, czy dokonują tego Polacy, czy obywatele UE?

Tak. Jak już mówiłem, w Polsce nie ma z tym problemu – udało nam się przetrzeć tu drogę. Niewykluczone jednak, że w kwestii zagranicznych mediów będziemy mieć dużo trudniej. Mówi się,

że piłka nożna to taka gra, w której 22 mężczyzn biega za piłką, a na końcu i tak wygrywają Niemcy. Wiele wskazuje na to, że podobna zasada dotyczy unijnego prawa... Rząd Polski może jednak spróbować zmienić ten stan rzeczy i wystąpić samemu w trybie art. 259 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej do TSUE ze skargą przeciwko Niemcom za naruszenie prawa unijnego.

Czy to wszystko nie jest jednak w znacznej mierze walką z wiatrakami? Czy Polacy nie stoją tu na straconej pozycji?

Trzeba walczyć, trzeba nagłaśniać te skandaliczne historie. Jeżeli zbitka słów „polski obóz” utrwali się w pamięci zachodnich społeczeństw, to konsekwencja tego może być tylko jedna – to my zostaniemy uznani za nazistów. Profesor Witold Kieżun przestrzega przed tym mechanizmem. Jak to działa? Cały świat wie, że to naziści budowali obozy zagłady. Jeżeli Zachód powszechnie będzie uważał, że obozy zagłady faktycznie były polskie, to ci mityczni naziści automatycznie uzyskają narodowość. Nazistami staną się Polacy, a nie Niemcy. Nie możemy do tego dopuścić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

mec. Lech Obara – jest prezesem stowarzyszenia *Patria Nostra*, organizacji przeciwdziałającej fałszowaniu historii Polski.

Państwowe Muzeum na Majdanku – Niemiecki Nazistowski Obóz Koncentracyjny i Zagłady (1941–1944) FOT. ADOBE STOCK





Kadr z serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wojna na paragrafy

Wojciech Simon

Na świadome fałszowanie historii niewiele pomogą sprostowania czy akcje edukacyjne. Z propagandzistami celowo siejącymi kłamstwa szkalujące dobre imię polskiego narodu o prawdę i godność trzeba walczyć, wykorzystując też prawo cywilne

Auschwitz-Birkenau. Niemiecki nazistowski oboz koncentracyjny i zagłady. Tak brzmi poprawne historycznie określenie. Niby wszyscy powinni je znać, ale po latach kłamliwych publikacji mówiących o „polskich obozach”, które w XXI w. pojawiały się wielokrotnie m.in. w mediach brytyjskich, amerykańskich, niemieckich, francuskich, duńskich, austriackich, norweskich, izraelskich, słowackich, włoskich czy hiszpańskich, skojarzenie tego obozu z niemieckimi oprawcami wcale nie jest powszechne wśród młodszych pokoleń. Właśnie dlatego w 2006 r. Polska wystosowała do UNESCO wniosek o oficjalną zmianę nazwy. Został on zaakceptowany i właściwa nazwa obowiązuje już ponad dekadę.

Dyplomatyczne interwencje nie wystarczą jednak do obrony polskiej pamięci. W czasach, w których w zagranicznych mediach, muzeach czy w podręcznikach historii używane są takie nieprawdziwe, dezinformujące i szkalujące dobre imię Polaków określenia jak „polskie obozy śmierci”, „polskie komory gazowe”, „polskie ludobójstwo” czy „polskie SS”, konieczne jest również składanie pozwów w sądach.

O tym, jak groźne może być tolerowanie „uproszczeń” i „skrótów myślowych”, świadczy fakt, że słów „polski obóz śmierci” w maju 2012 r. nieopatrznie użył nawet prezydent USA Barack Obama. I zrobił to podczas ceremonii pośmiertnego uhonorowania Prezydenckim Medalem Wolności Jana Karskiego – człowieka, który jako jeden z pierwszych opowiedział Rooseveltowi o Holokauście i błagał o podjęcie działań. „Nieumyślnie użyłem sformułowania »polskie obozy śmierci« w swoim przemówieniu” – napisał potem Obama, wyrażając ubolewanie, ale odmawiając przeprosin.

NUMER 100430

Urodzony w 1921 r. w Krakowie Karol Tendera – autor książki „Polacy i Żydzi w KL Auschwitz 1940–1945” – na własnej skórze poznał prawdę o niemieckich zbrodniach w czasie drugiej

wojny światowej. Po aresztowaniu przez gestapowców 5 lutego 1943 r. Niemcy wywieźli go do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Od tego czasu nie miał nazwiska. Niemcy wypalili mu na ręce numer obozowy: 100430. W barakach niemieccy zbrodniarze, na czele z dr. Josefem Mengelem, poddawali go pseudomedycznym eksperymentom. Następnie Niemcy deportowali go do obozu Birkenau, gdzie znów był świadkiem niemieckiego bestialstwa, a potem do Flossenbürg w Leitmeritz (obecnie czeskich Litomierzycach). Po odzyskaniu wolności w ostatnim dniu wojny przez lata współpracował z Fundacją Pamięci Ofiar Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, brał udział w wielu spotkaniach edukacyjnych, opowiadając o swoich doświadczeniach i robiąc wszystko, aby nigdy więcej ludzkość nie przeżyła już horroru znanego z drugiej wojny światowej.

– Byłem w trzech obozach i we wszystkich wieszali, bili, katowali i palili Niemcy, nie Polacy. Nie wolno dać się zakrzyczeć, że to była pomyłka. Ja tego nie zaakceptuję i nie zgadzam się na to! – mówił Karol Tendera w sądzie podczas procesu, który wytoczył niemieckiej telewizji publicznej ZDF za haniebne kłamstwo na antenie. – To świadome fałszowanie historii. Oczekuję od sądu, że postawi temu tamę, mam nadzieję,

■ że takie publiczne przeprosiny i zakaz sądowy pomogą – podkreślał były niemiecki więzień, który ostatnie lata swego życia musiał poświęcić na walkę z fałszerzami historii. W wywiadach podkreślał, że niemiecką telewizję pozwał nie z zemsty za uczynione mu przez Niemców krzywdy, ale po prostu dla obrony prawdy.

Karolowi Tenderze trudno było odmówić racji, a jednak batalia sądowa z przedstawicielami niemieckiej telewizji ZDF za posużenie się w roku 2013 określeniem „polskie obozy zagłady Majdanek i Auschwitz” w informacji na jej portalu, dotyczącej planowanej emisji programu dokumentalnego przygotowanego przez niemiecko-francuski kanał telewizyjny ARTE, trwała aż sześć lat.

Dlaczego tak długo? Chociaż w grudniu 2016 r. krakowski sąd apelacyjny podtrzymał wyrok sądu okręgowego i nakazał niemieckiej telewizji ZDF zamieścić na portalu zdf.de przeprosiny Karola Tendery, byłego więźnia Auschwitz, za użycie w 2013 r. określenia „polskie obozy śmierci”, to niemiecki nadawca próbował wykręcić się od wykonania wyroku.

Od orzeczenia polskiego sądu odwołał się do niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Sądy w Moguncji i Koblencji (po odwołaniu prawników ZDF od pierwszego wyroku) przyznały jednak, że sformułowanie „polskie obozy zagłady” może „wywołać u przeciętnego odbiorcy wrażenie, że nie chodzi tylko o geograficzną lokalizację, lecz także narodową”, co sugerowałoby, że obozy były tworzone i prowadzone przez Polaków.

Prawnicy ZDF ciągle jednak nie odpuszczali i – mając świadomość, że skarżący telewizję były więzień jest już w sędziwym wieku – kontynuowali arogancję strategii kolejnych apelacji. Po skardze wniesionej do Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, najwyższej instancji w niemieckim systemie prawnym, doczekali się sprzyjającego im orzeczenia. Sędziowie federalnego trybunału orzekli bowiem, że orzeczenie polskich sądów nie może być wykonane w Niemczech z uwagi na konstytucyjnie chronioną wolność słowa, która wyklucza nakazanie komukolwiek konkretnej treści przeprosin.

Niemieccy sędziowie w swym orzeczeniu nie tylko insynuowali wyższość cywilizacyjną niemieckiego systemu prawnego nad polskim, lecz także arogancko potraktowali określenie „polski

obóz” – oczywisty błąd nie może być chroniony przez prawo do swobody wypowiedzi, nie jest bowiem opinią, lecz określeniem przeczącym faktom historycznym.

Prawnicy kłamliwego niemieckiego nadawcy szli więc w zaparte również w Polsce. Ostatecznie ZDF jednak skapitulowała i wycofała skargę kasacyjną do Sądu Najwyższego.

KŁAMSTWA KONCERNU AXEL SPRINGER

Szkalowanie dobrej pamięci Polaków ma na koncie nie tylko ZDF, lecz także niemiecka publiczna TV SWR, stacja radiowa B5 aktuell i cieszący się dużą renomą „Die Welt”. Ten ostatni dziennik dwukrotnie w roku 2008 użył określenia „polnische Konzentrations-lager Majdanek”, a nieco ponad dwa lata później pisał o „polskich obozach koncentracyjnych”.

Szkalowanie pamięci Polaków ma na koncie nie tylko ZDF, lecz także publiczna TV SWR, stacja radiowa B5 aktuell i dziennik „Die Welt”

Wydawcę „Die Welt” – koncern Axel Springer Societas European – za te oszczerstwa pozwał do sądu Zbigniew Osewski, wnuk jednego z więźniów niemieckiego obozu zagłady, argumentując, że użycie fałszującego historię określenia narusza nie tylko narodową godność Polski, lecz także jego dobra osobiste. Podczas rozprawy przekonywał także, że czuł się zobowiązany do walki o godność i pamięć historyczną przez szacunek dla ofiary, jaką ponieśli jego dziadkowie – jeden z nich zginął w podoboże pracy Deutsch Eylau koło Ławy, a drugi uciekł z obozu GrossRosen, dzięki czemu mógł opowiadać o horrorze, który przeżył z rąk niemieckich oprawców.

W swym pozwie Zbigniew Osewski wnosił, by sąd nakazał pozwanej spółce Axel Springer w Berlinie (wydawcy „Die Welt”) wpłatę miliona złotych na cel społeczny oraz przeprosiny w „Rzeczpospolitej”, „Gazecie Wyborczej” oraz w Internecie za naruszenie dóbr osobistych powoda. Sąd Okręgowy w Warszawie oddalił pozew. Z takim orzeczeniem zgodził

się również w roku 2016 Sąd Apelacyjny w Warszawie, tłumacząc, że wprawdzie używając zwrotu „polski obóz”, niemiecki dziennik „Die Welt” naruszył dobra osobiste powoda, ale żądanie indywidualnych przeprosin idzie za daleko. Sąd apelacyjny zmienił rozstrzygnięcie sądu okręgowego jedynie w tym zakresie, że nie obciążył powoda obowiązkiem zwrotu kosztów procesu na rzecz pozwanego.

W lutym 2017 r. Sąd Najwyższy odmówił rozpoznania skargi kasacyjnej.

Według „Die Welt” użycie tego zwrotu było „niezamierzoną pomyłką” – autorom chodzić miało jedynie o położenie geograficzne obozów i nie było ich zamiarem przypisywanie Polakom tego, że je założyli. To często stosowany argument w sprawach szkalujących dobre imię Polaków, choć trudno znaleźć zachodnie medium, które pisałoby np. o „amerykańskich atakach z 11 września 2001 r.”, choć przyjmując logikę geograficzną niemieckich redakcji i ich mecenasów, taki termin najlepiej oddawałby lokalizację dokonanych przez islamistów zamachów na Pentagon i wieże World Trade Center. Chociaż niemieckie obozy istniały także np. w okupowanej Francji, to rząd w Paryżu nie musi walczyć z określeniem „francuskie obozy”.

To, że w grę wchodzi arogancja i jawne lekceważenie odczuć Polaków przez pracowników niemieckiego koncernu, widać również wyraźnie po tym, że już w trakcie trwania procesu wytoczonego przez Zbigniewa Osewskiego „Die Welt” kolejny raz opublikował określenie „polskie obozy zagłady”.

Na szczęście po sukcesie Lecha Obary, radcy prawnego i prezesa stowarzyszenia Patria Nostra, które reprezentowało pro publico bono Karola Tenderę, gdy do polskich sądów trafiały kolejne sprawy, orzekające konsekwentnie zgadzali się z argumentem, że nieprawdziwe informacje o „polskich obozach koncentracyjnych” naruszają takie dobra osobiste jak tożsamość narodowa czy godność narodowa. To zaś oznacza, że godzą w dobre imię każdego Polaka.

Stowarzyszenie Patria Nostra w styczniu 2018 r. złożyło także pozwy przeciwko niemieckim wydawcy gazety i rozgłośni radiowej z Bawarii, ponieważ w ich internetowych publikacjach niemieckie obozy zagłady w Sobiborze, Treblince i Bełżcu nazwano „polskimi obozami”. Urażony tymi publikacjami poczuł się Polski Związek Byłych Więźniów Poli-



Brama obozowa w Auschwitz | FOT. WIKIPEDIA

tycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych, reprezentowany przez prezesa Stanisława Zalewskiego.

Jak czytamy na stronie internetowej stowarzyszenia, w przypadku obu pozwanych – Mittelbayerischer Verlag KG oraz Bayerischer Rundfunk – Patria Nostra żąda m.in. zakazania pozwanemu rozpowszechniania w jakikolwiek

sposób określeń „polski obóz zagłady” lub „polski obóz koncentracyjny”, a także jego odpowiedników w językach angielskim, niemieckim i jakimkolwiek innym, określając w ten sposób niemieckie obozy koncentracyjne i niemieckie obozy zagłady zlokalizowane w okresie drugiej wojny światowej na terenie okupowanej Polski. Stowarzyszenie domaga się także

opublikowania w języku niemieckim, na portalu internetowym <http://www.mittelbayerische.de>, i pozostawienia przez jeden miesiąc na stronie głównej w ramce wyboldowaną czcionką 14 pt na własny koszt oświadczenia w języku niemieckim, w którym wydawca wyrażałby ubolewanie z powodu użycia „nieprawdziwego i fałszującego historię Narodu Polskiego określenia, sugerującego, jakoby obóz zagłady w Treblince został wybudowany i prowadzony przez Polaków”, a także przeprosza „Pana Stanisława Zalewskiego, który był więziony w niemieckim obozie koncentracyjnym, za naruszenie jego dóbr osobistych, w szczególności tożsamości narodowej (poczucia przynależności do Narodu Polskiego) i jego godności narodowej”

W przypadku obu pozwanych prawnicy stowarzyszenia wnoszą także o zasądzenie 50 tys. zł na rzecz Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Wnoszą też o „sporządzenie opinii biegłego z zakresu polityki historycznej Niemiec lub instytutu naukowego, aby na podstawie dotychczas przeprowadzonych badań lub badań przeprowadzonych przez siebie na potrzeby niniejszej sprawy wypowiedziano się w przedmiocie, czy posługiwanie się przez niemieckie redakcje prasowe określeniem »polski obóz koncentracyjny« lub »polski obóz zagłady« jest przejawem niemieckiej polityki historycznej (polityki pamięci) oraz czy niemiecka polityka historyczna (polityka pamięci) dąży do umniejszenia odpowiedzialności Niemiec za zbrodnię Holocaustu”.

ICH MATKI, ICH OJCOWIE

W grudniu 2018 r. w związku z emisją trzyczęściowego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” krakowski sąd nakazał niemieckiej telewizji ZDF m.in. publikację przeprosin za „nieuprawnione sugestie dotyczące rzekomego współdziałania Armii Krajowej w przeprowadzeniu Holocaustu” oraz za nieuprawnioną sugestię, „że wszyscy żołnierze AK reprezentowali postawy antysemickie i nacjonalistyczne”.

Chodzi m.in. o scenę, w której dowódca oddziału AK szuka w swojej jednostce Żydów, a jeden z polskich żołnierzy ostrzega: „Żydów potopimy jak koty”. Przeciwnie niemieckiej stacji wystąpili 94-letni weteran AK Zbigniew Radłowski oraz Światowy Związek Żołnierzy AK. Proces wspierany przez Redutę Dobrego



Polska akcja informacyjna na temat niemieckich obozów zagłady. FOT. JOERG HALUSCH/EPA/PAP

Imienia wytoczono za naruszenie dóbr osobistych rozumianych jako prawo do tożsamości narodowej, dumy narodowej i narodowej godności oraz wolności od mowy nienawiści.

Sąd zdecydował także, że pozwani mają przed każdorazową emisją serialu, niezależnie od kraju, w jakim miałyby ona nastąpić, zamieścić oświadczenie, że „wszystkie postacie żołnierzy AK wskazane w serialu są fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób jest niezamierzone, że to Niemcy okupowali Polskę 1939–1945, prowadząc politykę eksterminacji Polaków i Żydów, a żołnierze AK w zdecydowanej większości pomagali Żydom, chronili ich i ukrywali pomimo groźby utraty życia”. UFA Fiction i ZDF mają też solidarnie zapłacić na rzecz Zbigniewa Radłowskiego 20 tys. zł tytułem zadośćuczynienia oraz ponad 3,6 tys. zł tytułem zwrotu kosztów postępowania. Orzeczenie jest nieprawomocne, a telewizja ZDF nie zgadza się z wyrokiem i wkrótce po jego ogłoszeniu zapowiedziała apelację.

Krytyczne uwagi Polaków dotyczące serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” podzielają jednak nawet niemieccy historycy, w tym dyrektor berlińskiego muzeum Topografia Terroru Andreas Nachama. Można więc zakładać, że twórcy serialu dobrze wiedzieli, co robią, a tytuł celowo utrwała nieprawdziwe stereotypy na temat Polaków.

Prezes Reduty Dobrego Imienia w 2019 r. wygrał także przed sądem –

choć wyrok jest jeszcze nieprawomocny – z niemieckim portalem „Frankfurter Rundschau”. „Niemiecka gazeta na swoim internetowym portalu napisała, że zagłada nie była czynem czysto niemieckim, i zasugerowała współodpowiedzialność Polski i Polaków. Maciej Świrski – prezes Reduty – zażądał przeprosin, a Sąd Okręgowy w Warszawie przyznał mu rację. Po raz pierwszy przeproszony był Polak urodzony po II wojnie światowej, którego wydarzenia z lat 1939–1945 bezpośrednio nie dotyczyły” – podała Reduta Dobrego Imienia na swojej stronie.

SĄDOWA PRZEGRANA „NEWSWEEKA”

Dobre imię narodu polskiego szkalują nie tylko media wydawane poza granicami Polski. W sierpniu 2019 r. Sąd Najwyższy nakazał portalowi polskojęzycznego tygodnika „Newsweek” sprostowanie nieprawdziwych informacji o tym, że w Polsce znajdowały się polskie obozy koncentracyjne utworzone przez Polaków. Taka teza ukazała się w artykule ze stycznia 2017 r. pt. „Po wyzwoleniu nazistowskich obozów Polacy ponownie je otworzyli? »Mała zbrodnia« Marka Łuszczyny” autorstwa Pauli Szewczyk. Pierwsze orzeczenie sądowe z 2018 r. nakazywało „Newsweekowi” sprostowanie tej informacji. Tygodnik złożył apelację od wyroku, a później kasację do Sądu Najwyższego.

W sierpniu 2019 r. Sąd Najwyższy podzielił pogląd Macieja Świrskiego –

prezesa fundacji Reduta Dobrego Imienia, zdaniem którego artykuł zawierał „błędy historyczne” – i odmówił przyjęcia skargi kasacyjnej do rozpoznania. Co ważne, w tej sprawie sądy uznały, że nie ma potrzeby, aby w publikacji pojawiło się nazwisko Macieja Świrskiego – wystarczy, że artykuł dotyczy Polaków i wówczas Maciej Świrski jako Polak ma prawo żądać sprostowania nieprawdziwych informacji w kontekście prawdy historycznej.

Po interwencjach Reduty Dobrego Imienia wiele mediów również poza granicami Polski poprawiło kłamliwe określenia na takie, które są zgodne z prawdą historyczną. Przykładowo pod koniec listopada 2020 r. włoski serwis ComoZero poprawił określenie „campo polacco” (polski obóz) na „campi tedeschi nella Polonia occupata dai nazisti” (niemiecki obóz w okupowanej przez nazistów Polsce) w artykule o Ines Figini ocalałej z Auschwitz.

Tylko w październiku 2020 r. po interwencjach Reduty hiszpańskie „El Correo de España” poprawiło określenie „polskie getto” („gueto polaco”) na „Getto żydowskie w okupowanej przez Niemców Polsce” („Gueto judío en la Polonia ocupada por los alemanes”), a „Europa Press La Rioja” poprawił określenie „polski obóz koncentracyjny” („campo de concentración polaco”) na „niemiecki obóz w okupowanej przez Niemców Polsce” („campamento alemán en Polonia ocupada por los alemanes”), amerykański zaś portal „Readers Favorite” poprawił w recenzji książki Natalie B. Hess „Remembering Ravensbrück – Holocaust to Healing” określenie „Polish ghetto” na „Jewish ghetto”.

Dzięki skutecznym interwencjom polskich władz oraz obywateli szkalujące Polaków określenia pojawiają się w mediach coraz rzadziej. W walce o dobre imię i o prawdę historyczną nie wolno dać się zakrzyczeć. I chociaż zaangażowanie państwowego aparatu ścigania i prawa karnego do walki z oszczercami może budzić oskarżenia o naruszanie wolności słowa – co obserwowaliśmy przy próbie wprowadzenia ustawy przewidującej karę więzienia lub grzywny za używanie określeń typu „polski obóz” – to od kłamców należy konsekwentnie żądać przeprosin i naprawienia krzywd na drodze pozwów opartych na prawie cywilnym.

Historia za kratkami



Moskiewskie obchody Dnia Zwycięstwa FOT. ADOBE STOCK



Jakub Ostromięcki

Nie brakuje państw, które w sprawach historycznych sięgają po przepisy karne

Takie metody stosują m.in.: Węgry, państwa bałtyckie, Ukraina, Rosja, Turcja oraz Izrael. Ich kodeksy były u nas przedmiotem analiz Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości.

Każde z wymienionych państw prowadzi oczywiście inną politykę historyczną. Jedne będą starały się bronić przed odpowiedzialnością za zbrodnie popełnione niegdyś na ich terenie lub przy ich współudziale. Inne będą konsolidowały społeczeństwa wokół danych wydarzeń, idei, ugrupowań lub postaci historycznych, którym dany naród zawdzięcza w swojej opinii przetrwanie.

„RUSKI MIR”

Jednym z ważniejszych celów rosyjskiej polityki historycznej jest wspoma-

ganie budowy tzw. ruskiego miru, czyli odbudowy strefy wpływów w obszarze postsowieckim. Związek Sowiecki musi w myśl takich założeń jawić się jako „wyzwolicieł od faszyzmu”. Owa polityka historyczna działa też do wewnątrz, podtrzymując wśród obywateli mit niezwykłego imperium.

Artykuł 3541 rosyjskiego kodeksu karnego przewiduje karę grzywny w wysokości do 300 tys. rubli lub równowartości dwuletniego wynagrodzenia za pracę lub innego dochodu albo karę prac przymusowych w wymiarze do lat trzech, albo karę pozbawienia wolności do lat trzech za publiczne zaprzeczenie faktom stwierdzonym w wyrokach Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze, pochwalenie tych przestępstw, a także „rozpowszechnianie świadomie nieprawdziwych informacji o działaniach ZSRS podczas drugiej wojny światowej”.

Przeczenie faktom stwierdzonym w wyrokach norymberskich nie oznacza, że w Rosji do więzienia w związku z tym artykułem idą jedynie negacjoniści Holokaustu czy piewcy III Rzeszy. Przed sądem można stanąć na przykład za stwierdzanie faktu, że Polska została zaatakowana przez

ZSRS wspólnie z III Rzeszą. Spotkało to Władimira Łuzgina, ślusarza z Permu, który zamieścił post o tej treści na portalu społecznościowym. Łuzgin został skazany na grzywnę 200 tys. rubli, czyli ponad 3 tys. dol.

W ust. 3 tego samego artykułu przewidziana została odpowiedzialność za „rozpowszechnianie wyrażających jawny brak szacunku wobec społeczeństwa informacji o dniach sławy wojennej i pamiętnych dniach Rosji, związanych z obroną Ojczyzny”. Czyny te zagrożone są karą grzywny do 300 tys. rubli lub równowartości wynagrodzenia za pracę lub innego dochodu za okres do lat dwóch albo pracami społecznie użytecznymi w wymiarze do 360 godzin.

W Rosji nie potrzeba jednak specjalnych przepisów do realizacji polityki historycznej. Jurij Dmitrijew, historyk i członek stowarzyszenia Memoriał, po tym, jak odkrył miejsca mordów dokonanych przez NKWD, został w procesie łamiącym wszelkie zasady praworządności skazany na trzy lata więzienia pod zarzutem pedofilii. Andriej Żukow, emerytowany wojskowy, obecnie zaś archeolog tworzący w Internecie bazę

danych oficerów NKWD odpowiedzialnych za wielką czystkę sprzed 80 lat, został niedawno skazany w tajnym procesie „za szpiegostwo”.

SPRAWA PAMUKA

Najsłynniejszym tureckim przepisem związanym z polityką historyczną jest słynny art. 301 tamtejszego kodeksu karnego, który wszedł w życie w 2005 r. Stanowił on, że „osoba, która publicznie znieważa tureckość, Państwo Republiki Turcji, Tureckie Wielkie Zgromadzenie Narodowe, rząd Republiki Turcji i organy sądowe Turcji, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat dwóch. W punkcie drugim zaś: „Osoba, która publicznie znieważa wojsko lub inne organy bezpieczeństwa, podlega karze przewidzianej w ustępie pierwszym”. W 2008 r. słowo „tureckość” zamieniono na „naród turecki” – niewiele to jednak zmieniło, ponieważ „tureckość” i „naród turecki” tamtejsi prokuratorzy interpretują dość szeroko.

Obrazą narodu może być na przykład stwierdzenie, że Turcja w 1915 r. dokonała ludobójstwa na Ormianach. Przekonał się o tym turecki pisarz i noblista Orhan Pamuk. W 2005 r., na kilka miesięcy przed ogłoszeniem przepisu, udzielił wywiadu szwajcarskiej gazecie, w której nawiązał do owej zbrodni. Chwilę po rozpoczęciu procesu prokuratura wycofała się z oskarżenia. Po kilku latach Pamuk przegrał jednak proces cywilny, w wyniku którego musiał zapłacić na rzecz powodów, których honor miał obrazić, ok. 6 tys. lirów, czyli równowartość niskiej tureckiej pensji. Pamuk nie był jedynym publicystą sądzonym z tego artykułu. Najwięcej takich spraw rozegrało się w 2006 r. Jedna z nich zakończyła się tragicznie. Ormiański dziennikarz mieszkający w Turcji Hrant Dink wkrótce po tym, jak dostał wyrok w zawieszeniu, został zastrzelony przed budynkiem swojej redakcji przez młodocianego fanatyka, który po zabójstwie miał krzyczeć: „Zabiłem niewiernego!”. Rok później za twierdzenie o ludobójstwie Ormian został skazany syn Hranty Dinka, Arat.

Chęć uniknięcia odpowiedzialności za ludobójstwo Ormian nie jest jedynym elementem kształtującym turecką politykę historyczną. Równie ważna w Turcji jest pamięć o Atatürku, przywódcy i wielkim modernizatorze z okresu międzywojennego. Od 1951 r. obowiązuje „Prawo dotyczące przestępstw popełnianych

przeciw pamięci Atatürka”. Za urąganie czci wodza grozi do trzech lat pozbawienia wolności. Wśród oskarżonych na sali sądowej możemy spotkać zarówno lewicowo-liberalnych intelektualistów zarzucających Atatürkowi dyktatorskie zapędy i krytykujących kult jednostki, jak i radykalnych islamistów zarzucających mu zdradę wiary muzułmańskiej.

WYPĘDZENIE CZY EXODUS?

W 1986 r. Kneset uchwalił ustawę zabraniającą negowania Holokaustu. W Izraelu za negacjonizm można trafić do więzienia nawet na pięć lat. W ciągu następnych lat podobne prawa uchwaliły większość państw Unii Europejskiej oraz Rosja. To właśnie na podstawie tych przepisów w 2005 r. skazano w Austrii znanego historyka Davida Irvinga. Nawet biorąc pod uwagę, że przekonanie o słuszności takich unormowań mogło zrodzić się niezależnie od prób lub nalegań płynących z zewnątrz, to jest to niewątpliwy sukces polityki historycznej Izraela.

Wprowadzenie takich zakazów nie spotkało się z większymi oporami na arenie międzynarodowej czy w świecie naukowym, w przeciwieństwie do zakazów negowania zbrodni komunistycznych. Tutaj protestowali zarówno pogrobowcy owej ideologii, sama Rosja uważająca się za kontynuatorkę Związku Sowieckiego, jak i często członkowie żydowskiej diaspory oburzeni tym, że można traktować zbrodnie nazistowskie na równi z komunistycznymi.

W Izraelu obowiązuje jeszcze jeden zakaz związany bezpośrednio z polityką historyczną. Chodzi o arabskie święto Nakba. Jest to upamiętnienie wypędzeń – jak chce strona arabska – czy exodusu – jak chce Izrael – ludności arabskiej z Palestyny po przegranej wojnie. Izrael nie może zakazać owych obchodów w Strefie Gazy ani na Zachodnim Brzegu. Robi to jednak w stosunku do Arabów mających izraelskie obywatelstwo, zarzucając im, że obchody takie negują istnienie państwa Izrael jako państwa żydowskiego. Pierwotnie organizowanie upamiętnienia arabskiego exodusu było zagrożone karą do trzech lat więzienia. Obecnie przepisy są mniej represyjne, choć kto wie, czy nie bardziej skuteczne z punktu widzenia Izraela – minister finansów może wstrzymać dotację dla każdego stowarzyszenia, które w jakiegokolwiek formie wspiera obchody Dnia Nakba. Podczas uchwalania nowego prawa premier Netanjahu



był bardzo pewny siebie. Widać to było w czasie scysji, do jakiej doszło przy okazji głosowania w Knesecie. Arabski poseł zarzucił rządowi, że ustawa jest rasistowska. Spuentował swoje oskarżenie tymi słowami: „Jeśli coś chodzi jak kaczka, wygląda jak kaczka i kwacze jak kaczka, to jest to kaczka”. Niewzruszony Netanjahu odparł do posła: „Może Pan sobie kwakać, nawet w Knesecie. Na tym między innymi polega demokracja”. Owa riposta i brak większego odzewu w świecie wobec zakazu organizacji obchodów dobrze oddaje stan rzeczy związany z polityką historyczną. Okazuje się bowiem, że dwa kraje demokratyczne mogą być kompletnie różnie oceniane za podobne ograniczenie wolności słowa.

STRZAŁOKRZYŻ JAK SWASTYKA

Polityka historyczna nad Dunajem ma na celu wykazanie, że Węgrzy są nie tylko ofiarą drugiej wojny światowej, lecz także doświadczyli zbrodni zarówno nazistowo-



Palestyńczycy z Hebronu na Zachodnim Brzegu obchodzą Dzień Nakba (2011 r.). Na pierwszym planie: izraelscy żołnierze. FOT. WIKIMEDIA COMMONS/PALESTINE SOLIDARITY PROJECT

skich, jak i komunistycznych. Węgierska konstytucja mówi wprost: „Przywrócenie państwowej suwerenności naszej ojczyzny, utraconej 19 marca 1944 roku, datujemy od 2 maja 1990 roku”. 19 marca 1944 r. Węgry przestały być sojusznikiem III Rzeszy, a stały się państwem przez nią okupowanym. Wtedy też trwały największe wysiedlenia Żydów do obozów koncentracyjnych. Okupacja sowiecka była zaś w latach 50. okrutniejsza niż w reszcie państw komunistycznych w Europie.

Od 1 lipca 2013 r. obowiązuje na Węgrzech nowy kodeks karny. Polityki historycznej dotyczy rozdział XXXII: „Przestępstwa przeciwko spokojowi publicznemu”. Wymienia on między innymi podleganie przeciwko wspólnocie, publiczne negowanie zbrodni systemów narodowosocjalistycznych lub komunistycznych i używanie symboliki despotyzmu. Karę do trzech lat więzienia można zatem dostać nie tylko za podawanie w wątpliwość ludobójstwa nazistowskiego i komunistyczne-

go, lecz także za ukazywanie ich jako mało istotnych czy czynienie wysiłków na rzecz ich usprawiedliwienia.

Na Węgrzech nie wolno propagować swastyki, oznaczeń SS, strzałokrzyża, sierpa i młota, czerwonej pięcioramiennnej gwiazdy ani innych symboli nazizmu i komunizmu. Grozi za to areszt, czyli kara taka jak u nas za wykroczenia. Węgrzy osiągnęli zatem plan minimum – poprzez kryminalizację strzałokrzyża odcięli się od kolaboracyjnego rządu utworzonego w październiku 1944 r. i zestawili go jednocześnie z symbolami komunistycznymi, akcentując zbrodniczość obu totalitarnych systemów.

PRAWO BAŁTÓW

Polityka historyczna państw bałtyckich ma podobne podstawy jak na Węgrzech. Konstytucja Estonii za okres okupacji uznaje czas od 16 czerwca 1940 r. do 20 sierpnia 1991 r. Podobnie jest w konstytucjach łotewskiej i litewskiej.

W Estonii nie karze się za negowanie zbrodni przeciwko ludzkości ani naruszanie godności narodu. Jest natomiast deklaracja parlamentu z 2002 r., w której instytucje sowieckie biorące udział w agresji i okupacji Estonii uznano za organizacje przestępcze. Samo członkostwo w tych organizacjach nie jest uznane za przestępstwo, ale konkretne działania podejmowane w czasie pełnienia obowiązków już tak. Oskarżony odpowiada wtedy z artykułów dotyczących przestępstw przeciwko państwu. Innym ważnym dokumentem jest deklaracja parlamentu z 2012 r.: „Parlament oddaje hołd obywatelom Estonii, którzy działali de facto na rzecz odbudowania państwa estońskiego podczas okupacji niemieckiej i sowieckiej”. Publicyści z racji daty ogłoszenia nadali jej nazwę „Uchwały walentynkowej”.

Zgodnie z art. 741 łotewskiego kodeksu karnego z 1998 r. penalizowane jest publiczne usprawiedliwianie ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości, zbrodni przeciwko pokojowi i zbrodni wojennych. W ustawie o bezpieczeństwie wydarzeń publicznych z 16 czerwca 2013 r. (art. 41) został wprowadzony przepis zakazujący publicznego używania, włączając w to stylizacje, flag, odznak i hymnów byłego ZSRS, byłych republik związkowych ZSRS i faszystowskich Niemiec; swastyki, run SS, symbolu sierpa i młota, pięcioramiennnej gwiazdy, z wyłączeniem sytuacji, w których ekspozycja tych symboli nie jest gloryfikacją totalitarnych reżimów. Kary nie są jednak surowe – grożą za to grzywna lub areszt administracyjny.

21 grudnia 2017 r. łotewski Sejm uchwalił Ustawę o uczestnikach drugiej wojny światowej. Bardzo ważny jest art. 1 tej ustawy. Mówi on: „Republika Łotewska nie jest prawnie odpowiedzialna za działania władz okupacyjnych na jej terytorium”, wskazując Niemców i Sowietów jako sprawców ludobójstwa. W kolejnym przepisie wskazano, którzy obywatele Łotwy nie mogą uzyskać statusu uczestnika drugiej wojny światowej. Są nimi na przykład osoby, które należały do Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej (NSDAP) i SS, przy czym, co ważne, nie chodzi tu o żołnierzy z poboru, służących na przykład w jednostkach frontowych. Dalej wyłączeni są funkcjonariusze aparatu represji III Rzeszy i ZSRS lub osoby, które zostały mieszkańcami Łotwy w wyniku łotewsko-sowieckiego układu z 5 października 1939 r. i służyły

w jednostkach wojskowych ZSRS lub były członkami personelu pomocniczego, a także ich małoletnie dzieci i osoby pozostające na ich utrzymaniu.

Bardzo istotnym elementem polityki historycznej Estonii i Łotwy są tamtejsze ustawy o obywatelstwie. Ktoś, kto służył zatem w aparacie bezpieczeństwa ZSRS lub Armii Czerwonej, a nie jest potomkiem obywateli Estonii lub Łotwy sprzed czasów okupacji, ma jedynie stratus cudzoziemca. Litwa, mająca jedynie 8 proc. mniejszości rosyjskiej, nie zdecydowała się na takie rozwiązanie.

Na Litwie penalizowane jest pochwalanie zbrodni ZSRS i nazistowskich Niemiec przeciwko Litwie oraz zbrodni ludobójstwa i zbrodni przeciwko ludzkości dokonanych przez ZSRS lub nazistowskie Niemcy na terytorium Republiki Litwy albo przeciwko mieszkańcom Litwy. Karane jest także zaprzeczanie zbrodniom dokonany w latach 1990–1991 lub pomniejszanie ich, jeżeli zostały one popełnione przy użyciu groźby, przemocy lub zniewagi. Taki czyn karany jest karą grzywny, ograniczenia wolności lub aresztu albo pozbawienia wolności do lat dwóch. Za czyn ten odpowiedzialność ponoszą także osoby prawne. Owe zbrodnie z lat 1990–1991 dotyczą na przykład ataku Sowietów na siedzibę telewizji w Wilnie w styczniu 1991 r. czy ataków na litewskie posterunki graniczne.

Obie deklaracje estońskie oraz łotewski i litewski kodeks karny mają osłabić rosyjską narrację stawiającą ZSRS w roli „wyzwolicielem od faszyzmu” oraz usprawiedliwiającą okupację Bałtów w latach 1940 i 1944. Narracja owa jest o tyle niebezpieczna, że Estonię i Łotwę zamieszkuje liczna mniejszość rosyjska, w dużej części wywodząca się z rodzin wojskowych i partyjnych, a więc przeja-

wiająca sentyment do czasów sowieckich. Łotewska ustawa o uczestnikach drugiej wojny światowej ma dodatkowo bronić Łotwę, choć bez użycia sankcji karnych, przed przypisywaniem jej odpowiedzialności za ludobójstwo.

W OBRONIE UPA

Ustawodawstwo ukraińskie jest dużo bardziej kontrowersyjne od unormowań państw bałtyckich, a jednocześnie Ukraina ma dużo większy problem ze swoją pamięcią historyczną. Na Łotwie i w Estonii mieszka co prawda liczna mniejszość rosyjska identyfikująca się z Sowietami, nie posiada ona jednak obywatelstwa, a wśród samych Bałtów nie widać istotnych pęknięć, jeśli chodzi o pamięć kolektywną. Jednakże na Ukrainie, na olbrzymich obszarach kraju na wschód od Kijowa, sama ludność ukraińska wykazuje brak identyfikacji z bohaterami i wydarzeniami, które ważne są z kolei dla Ukraińców z zachodniej części kraju.

Budowanie tożsamości ukraińskiej odbywa się zatem niejako na siłę. Na Ukrainie od 9 kwietnia 2015 r. obowiązuje ustawa Nr 314-VIII „O statusie prawnym i uczczeniu pamięci bojowników o niepodległość Ukrainy w XX wieku”. Bojownicy ci stanowią dość eklektyczne grono liczące kilkanaście historycznych organizacji, w którym jest miejsce zarówno dla UPA, jak i Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. W art. 6 ustawy przewidziano, że kto wyraża brak szacunku dla osób przynależących do wymienionych wyżej organizacji, ten „ponosi odpowiedzialność przewidzianą przez ustawodawstwo ukraińskie”. Podobnie w ust. 2 zapisano, że negowanie faktu zasadności walki o niepodległość Ukrainy w XX w. uznaje się za znieważenie pamięci bojowników o niepodległość i poniżenie godności narodu ukraińskiego.

W ukraińskim prawie brak jednak sankcji za owe działania.

O ile gloryfikacja organizacji, która dokonała ludobójstwa w Wołyniu i w Galicji Wschodniej, jest haniebną, o tyle w pełni zrozumiałe jest ustawowe uznanie hołdomoru, czyli klęski głodu wywołanej w latach 30. przez władze sowieckie, za ludobójstwo. W 2017 r. wprowadzono dwa projekty zmian w kodeksie karnym przewidujące karę do pięciu lat więzienia za negowanie hołdomoru i brak okazywania szacunku jego ofiarom.

Oprócz tego na Ukrainie od 9 kwietnia 2015 r. obowiązuje ustawa Nr 317-VIII „O osądzeniu totalitarnych reżimów komunistycznego i narodowosocjalistycznego (nazistowskiego) na Ukrainie oraz o zakazie propagowania ich symboliki”. Znowelizowano w związku z tym kodeks karny, w którym przewidziano: „Produkcyj, rozpowszechnienia i publiczne wykorzystywanie symboli totalitarnych reżimów komunistycznego i narodowosocjalistycznego (nazistowskiego), także jako upominków, publiczne wykonywanie hymnów ZSRS, Ukraińskiej SRS, innych republik związkowych lub autonomicznych albo ich fragmentów na obszarze Ukrainy [...] podlega karze ograniczenia wolności do lat pięciu lub pozbawienia wolności na ten sam okres, z przepadkiem mienia lub bez niego”. Ustawa nie uznaje więc UPA za organizację nazistowską.

Wszystkie te ustawy mają osłabić rosyjską politykę historyczną, ale również skonsolidować samych Ukraińców wokół jednego mitu. W związku z głębokimi podziałami między wschodem a zachodem Ukrainy oraz rosyjskim triumfem na Krymie i w Donbasie jest to zadanie bardzo trudne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tłumaczenie przepisów:

Institut Wymiaru Sprawiedliwości

Dzień pamięci Legionu Łotewskiego SS,
Ryga, 16 marca 2008 r. FOT. WIKIMEDIA COMMONS/DEZIDOR





FOT. ADAM STOK

#19148624



Zuzanna Dąbrowska

Nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r. unaoczniała skalę niechęci zagranicznych mediów wobec polskiej pamięci historycznej. Przy okazji jasne się stało, że polska machina narracyjna to wciąż niezrealizowany projekt

Droga Polsko, czy jesteś pewna, że chcesz iść tą drogą? – pytał Bradley Burston w internetowym wydaniu izraelskiego „Haaretz”, dziennika, który zachęcając czytelników do subskrypcji, reklamuje się hasłem „Wybierz prawdę”. Tekst pochodzący z końca lutego 2018 r. jest papierkiem lakmusem tego, jak nowelizacja ustawy o IPN została odebrana na świecie. Propozycja, którą pilotował resort sprawiedliwości, weszła ostatecznie w życie bez budzącego największe kontrowersje zapisu o karaniu grzywną lub trzema latami więzienia

za przypisywanie polskiemu narodowi lub państwu odpowiedzialności m.in. za zbrodnie III Rzeszy Niemieckiej. Pomimo to sprawiła, że jak na dłoni zobaczyliśmy skalę... No właśnie – skalę czego? Niezrozumienia czy braku dobrej woli? A może po prostu opadły maski i uznano, że nie trzeba już udawać, iż nie mamy do czynienia z wojną o pamięć?

Chyba najpoważniejsze z medialnych oskarżeń dotyczyło próby zmieniania historii. „Polsko, możesz skazać prawdę na wyrok 3 lat więzienia, nawet na 30 lub dożywocie. Prawda się nie zmienia. Bo na końcu wszyscy pamiętają, jak było” – pisze w moralizatorskim tonie Bradley Burston. „Haaretz”, podobnie jak inne izraelskie media, stanął na czele propagandowej krucjaty przeciwko ustawie.

Jeszcze dalej w ocenie nowelizacji poszła na łamach „The Jerusalem Post” Melanie Phillips. „Polska spuszcza ze smyczy swoje wewnętrzne demony. Konstruuje narrację historyczną o podejściu do Żydów, która jest fałszywa” – oskarża autorka, wytykając Polakom, że choć oburzają się na stwierdzenie „polskie obozy koncentracyjne”, to sami dopuszczają się przeinaczania historii. Phillips, która pisze też także dla brytyjskiego „The Times”,

bez przytoczenia jakichkolwiek danych stwierdza, że od kiedy ustawa weszła w życie, w Polsce „wybuchła fala antysemityzmu”. Szkoda, że autorka z takim samym zapałem nie opisała rosnącej liczby incydentów antysemickich w Niemczech. Według statystyk prowadzonych przez Punkt Badań i Informacji o Antysemityzmie (RIAS) w Berlinie w 2018 r. doszło do 1083 antysemickich incydentów. Oznacza to wzrost w stosunku do poprzedniego roku o 14 proc.

MICHNIK AUTORYTETEM

Medialna i polityczna presja zadziałała. Ustawę znacznie zmieniono, jednak nawet podpisanie przez premierów Morawieckiego i Netanjahu w czerwcu 2018 r. wspólnej deklaracji mającej łagodzić spór i podkreślać wspólnotę nie sprawiło, że medialne ataki ustały.

– To jest błąd popełniany często w myśleniu Polaków, że czują się ofiarami czegoś. To tak nie jest. Jeżeli Polacy mogą być ofiarą czegoś, to czasami samych siebie lub ludzi, którzy podejmują niewłaściwe decyzje. Myślę, że intencją noweli była ochrona pamięci historycznej i nieprzypisywanie Polakom zbrodni, których nie popełnili w czasie drugiej wojny światowej.



Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas drugiej wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej FOT. ADOBE STOCK

Natomiast Izraelczycy odebrali ją jako zupełnie coś innego – jako zagrożenie karą więzienia za mówienie o tym, co się działo, czyli o zabijaniu Żydów przez Polaków, do czego przecież też dochodziło – mówi „Do Rzeczy” Jarosław Papis, szef Fundacji Hatikva, zajmującej się nawiązywaniem dialogu oraz upowszechnianiem polsko-żydowskiej tradycji.

Wygląda na to, że zamysłu polskiej noweli nie zrozumiały też media w Stanach Zjednoczonych. „The Washington Post” stwierdza, że w świetle ustawy mordu w Jedwabnem właściwie nie było. „Błotnista ścieżka do stodoły to kolejna droga donikąd” – twierdzi James McAuley. Warto zaznaczyć, że w chórze krytyków wybrzmiewającym poza granicami naszego kraju niemal zawsze słychać polskie głosy. Jako autorytet „The Washington Post” przywołuje słowa Adama Michnika, redaktora naczelnego skrajnie krytycznej wobec ustawy „Gazety Wyborczej”: „Nie ma narodu, który ma całkowicie czyste sumienie. Każdy kraj ma swój Ku Klux Klan”.

„Polska od lat ma niełatwe relacje z Holocaustem. Ten projekt jest po prostu najbardziej wyszukaną i rzucającą się w oczy próbą redefiniowania historii Polski” – oskarża na łamach tego samego tytułu Volha Charnysh.

Historyk, politolog i sowietolog prof. Marek Jan Chodakiewicz, który od lat mieszka w USA, z bliska obserwował reakcję tamtejszych mediów na ustawę. Ekspert zaznacza, że intencje strony polskiej nie zostały odebrane tak, jak chciał rząd nad Wisłą. „Po pierwsze, strona polska nie przygotowała gruntu pod te przepisy. Po

drugie, strona zainteresowana utrzymaniem status quo, gdzie Polakom przypisuje się zbrodnie (tzw. nowa szkoła Holocaustu, czyli antylogocentryczni »naukowcy«), od dawna stosuje narrację, że to Polacy są winni. Po trzecie, strona żydowska bardzo nerwowo reaguje na takie tematy i przyjęła narrację »nowej szkoły Holocaustu«, odrzucając z góry zastrzeżenia polskie. Po czwarte, Amerykanie odczytali to wszystko jako zamach na wolność słowa, bo tak to było im pokazane” – wylicza prof. Chodakiewicz w rozmowie z „Do Rzeczy”.

I to właśnie oskarżenie o chęć ograniczenia nie tylko wolności słowa, lecz także wolności badań naukowych stało się kolejnym argumentem podnoszonym przez krytyków. Co symptomatyczne, w roli obrońcy tych wartości stawał na łamach zagranicznej prasy prof. Jan Grabowski, traktowany przez zachodnie media jako autorytet. „Jan Grabowski, historyk, który pokazał kolaborację granatowej policji z nazistami, został oskarżony o antypatriotyzm. Lecz on mówi: »Jesteśmy strażnikami pamięci milionów ofiar«” – pisała włoska „La Repubblica”, broniąc Grabowskiego przed krytyką, jaką wystosował pod jego adresem na łamach „Do Rzeczy” publicysta historyczny Leszek Żebrowski. Gazeta określiła Jana Grabowskiego mianem „być może najważniejszego badacza Holocaustu w Polsce”, który „znalazł się na nowo w centrum gwałtownych polemik”. „La Repubblica” zapomniała wspomnieć o licznych zarzutach natury merytorycznej, jakie regularnie są formułowane pod adresem współautora skrajnie stronicznej publikacji „Dalej jest noc”.

O tym, po czyjej stronie w sporze o historię staje badacz, może świadczyć np. jego tekst z czerwca tego roku opublikowany przez portal Haaretz. „Podczas gdy większość izraelskich i amerykańskich historyków zajmujących się Holocaustem skupia się na żydowskich ofiarach, niemieccy akademicy poświęcili się badaniu »swoich« ludzi – policji, nazistowskich liderów politycznych, procesu podejmowania decyzji w III Rzeszy” – stwierdza Grabowski, konkludując, że taki tok myślenia sprzyja próbom wybielenia się przez Polaków, Ukraińców czy Węgrów.

DEPESZA Z GROSSEM

– Zachodnie media chcą słyszeć skrajności. Z jednej strony słuchają Jana Grabowskiego, którego po prostu nie można nazwać badaczem – manipuluje źródłami, podaje nieprawdę, niestety mając tego świadomość. Z drugiej strony słowa osób takich jak pani Ewa Kurek, stojących po przeciwnej stronie, także padają na podatny grunt, potwierdzają one bowiem stereotypy o rzekomej polskiej zaścianowości i antysemityzmie – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Bogdan Musiał, polsko-niemiecki historyk, ekspert stosunków polsko-niemieckich i rosyjsko-niemieckich.

Tezę tę wydaje się potwierdzać m.in. depesza niemieckiej agencji DPA z marca 2018 r. Według cytowanego w niej Jana T. Grossa ustawą o IPN Polska chciała „zdusić w zarodku debatę na temat współudziału Polaków w prześladowaniu Żydów”. Depeszę przedrukowały duże zagraniczne portale – a to pierwszy i najważniejszy krok w kreowaniu opinii publicznej. W świat poszły słowa Grossa o tym, że „polscy nauczyciele będą się bać”.

O „polskich antysemitach” można było też przeczytać w „Die Welt”. Gerhard Gnauk ocenił, że ustawa o IPN to dowód na to, iż polski rząd „woli młot od dyplomacji”. Komentator w dość oczywisty sposób skrytykował przy tym reformę sądów przeprowadzoną przez Prawo i Sprawiedliwość: „Polska popadła w kryzys w polityce zagranicznej. Bo jak prokuratorzy mają decydować, czy opis zbrodni polskich antysemitów obciąża »narod«? Jak będą wytyczne granice wolności sztuki i badań? Jak orzekać będą sądy, w których przecież za prawo uznaje się ostatnio w Polsce »wolę narodu«, ducha czasów [...]”.

Eksperci wydają się zgodni: media przeważnie napędzane antypolskim



Spotkanie premierów Mateusza Morawieckiego i Beniamina Netanjahu. FOT. KPRM

paliwem, pochodzącym często znanz Wisły, plus lata zaniedbań w kreowaniu własnej narracji sprawiły, że świat po prostu tak na nas patrzy – oczywiście nie bez znaczenia jest tu interes polityczny. Spór o nowelę wywołał wiele skrajnie kłamliwych oskarżeń. Szef izraelskiego MSZ Israel Katz stwierdził, że „Polacy wysłali antysemityzm z mlekiem matki”. „Było wielu Polaków, którzy kolaborowali z nazistami [...], nikt nie będzie nam mówić, jak mamy się wyrażać i jak pamiętać naszych poległych” – te słowa prominentnego polityka w rządzie Beniamina Netanjahu wywołały w Polsce burzę. Jednak za mistrza w dziedzinie oczerniania Polaków można uznać Ja'ira Lapida. „Hitlerizm był ideologią niemiecką, ale obozy powstały przy czynnej pomocy Polaków. Polacy współpracowali przy tworzeniu i prowadzeniu obozów zagłady, Polacy wydawali Żydów Niemcom i tym samym wysyłali ich na śmierć” – powiedział członek Knesetu w rozmowie z portalem Onet. To nie koniec. Lapid poszedł o krok dalej: „Były polskie obozy śmierci i żadne prawo tego nie może zmienić”.

Zdaniem prof. Bogdana Musiała kolejne antypolskie medialne wzmożenie to okazja nie do przegapienia także dla Kremla. – Władimir Putin oczywiście wykorzystał ustawę ws. IPN do wzmacniania narracji o polskim antysemityzmie. To nic nowego, że rosyjska propaganda używa wszelkich możliwych narzędzi, aby uderzać w Pol-

skę. Robili to Sowietzi, przed 1945 r. i po nim, a na micie polskiego antysemityzmu polskich antykomunistów opierała się przecież władza komunistyczna. Dziś robią to współczesna Rosja i Niemcy – zaznacza historyk.

AKCJA STYPENDIALNA

Co w takim razie może uczynić Polska, aby w końcu skutecznie promować własną narrację w kontekście tragedii drugiej wojny światowej i Holocaustu?

– Nie można mówić o dychotomii Polska-Izrael. Zachodzi spór na linii logocentryzm vs. postmodernizm. To zderzenie metodologii, a nie zderzenie etosów czy kultur. Izrael nie wygrywa, bo przecież podskórnie cały czas funkcjonuje na Zachodzie negacjonizm Holocaustu. Poza Zachodem, np. w Iranie, wręcz króluje. Prawdy trzeba stale bronić. To też dotyczy Polski. Zrzucanie na Polaków winy za Holocaust to jest jego rewizjonizm albo wręcz negacja. Ustawa tego nie załatwi. Zmiana paradygmatu kulturowego – tak. Nad tym trzeba pracować. Potrzebne są strategia, wyobrażenia oraz pieniądze na rozwijanie lobby, granty i stypendia. Bez tego ani rusz – stwierdza prof. Marek Jan Chodakiewicz.

O potrzebie „stworzenia łańcucha bezpieczeństwa informacyjnego” mówi z kolei prezes Reduty Dobrego Imienia Maciej Świrski. – Po drugie, przeciwstawienie się fałszerstwom historycznym.

Wymaga to szerokiej i atrakcyjnej akcji stypendialnej ze strony polskich instytucji państwowych (z finansowaniem na poziomie zachodnim) dla młodych naukowców zainteresowanych Europą Wschodnią. Trzeba wykształcić tych młodych i dać im okazję do napisania książek, które byłyby kolejnym stopniem w ich karierze akademickiej – wskazuje Świrski w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Tezę o konieczności kreowania pozytywnej polityki historycznej poprzez kulturę przy jednoczesnym budowaniu bazy naukowej potwierdza brytyjski pisarz i dziennikarz Jack Fairweather. Autor słynnej książki „Ochotnik. Prawdziwa historia tajnej misji Witolda Pileckiego”, pokazującej w sposób atrakcyjny dla zachodniego odbiorcy heroiczną drogę rotmistrza, wskazuje, że białych plam w polskiej historii wciąż jest wiele. – Myślę, że dla wielu na Zachodzie druga wojna światowa kończy się zwycięstwem w maju 1945 r. Los powojennej Europy Środkowej i Europy Wschodniej pod okupacją sowiecką jest mało znany. Kiedy rozmawiam z czytelnikami w Wielkiej Brytanii lub w USA, czasami proszę ich, aby wyobrazili sobie, jak by to było, gdyby bohaterowie bitwy o Anglię lub D-Day byli przez pół wieku uznawani za zdrajców i wrogów ludu. To nie do pomyślenia. A jednak tak się stało w Polsce. Krajowi odmówiono jego bohaterów. Uważam, że bez nich trudno było w pełni rozliczyć się z przeszłością. Często mówi się, że kraje takie jak Francja czy Holandia pogodziły się ze swoją historią kolaboracji pod okupacją hitlerowską. Moim zdaniem stopień, do jakiego to zrobiły, wynika ze świadomych powojennych wysiłków włożonych w pokazywanie ich ruchu oporu. Dopiero wtedy te kraje były w stanie przyjąć ciemniejsze karty swojej przeszłości. Ten proces ponownego odkrywania ma w Polsce zaledwie kilkadziesiąt lat. Podczas moich badań byłem zdumiony, gdy odkryłem, jak wiele rodzin, z którymi rozmawiałem, nie miało pojęcia o niesamowitych rzeczach, których dokonali ich rodzice lub dziadkowie. Wiele historii jeszcze nie zostało opowiedzianych – mówi „Do Rzeczy” Jack Fairweather.

– Zwykle nie myślę o historii w kategoriach pozytywnych lub negatywnych. Uważam, że próbując kształtować przeszłość, ryzykujemy utratę jej najważniejszego daru – zrozumienia, dlaczego ludzie dokonali takich, a nie innych wyborów – dodaje Fairweather.